

Więcej bolońskiej tradycji

Studiowałam w złym czasie. Może najgorszym z całego powojnia (1945–1989), z pewnością dla studiów humanistycznych. Pod koniec moich studiów do kanonu lektur włączono broszurkę o językoznawstwie pióra Józefa Stalina, ale już właśnie ukazała się *Odwilż* Erenburga, po którą stało się w kolejce wychodząc z ćwiczeń, podpisawszy listę obecności.

Przywołuję tamte niechlubne czasy, żeby stwierdzić, że pokolenie ówczesnych studentów może z całym przekonaniem mówić: skończyliśmy dobry uniwersytet, na którym wprawdzie polonistów nie informowano, że istnieją tacy pisarze jak Gombrowicz i Miłosz, ale zachęcano do mądrzenia się na temat *Trenów* Kochanowskiego i poezji Oświecenia. Trenowali nas w dyskusjach (limitowanych, gdy szło o tematy) przedwojenni jeszcze profesorowie, ale i młodzi asystenci-marksści rozciągali granice dopuszczalnej śmiałości myśli i samodzielności interpretacyjnej ile się dało. W dużej mierze dlatego to pokolenie inteligentów w większości zdołało łatwo przejść na oczy i szybko porzucić fałszywe, pozory, wmówienia. Nauczono je – przy wszystkich owych wzmówieniach – podstawowych rozróżnień między tym co istotne i tym co błahe, tym co wartościowe i tym co tylko przygodne. Studenci kierunków przyrodniczych, najogólniej klasyfikując, nie mieli takich problemów, albo mieli je w minimalnym stopniu, nawet jeżeli wliczyć łysenkizm.

Myślę o tym w czasie, gdy zaczyna się w Polsce urzeczywistnianie reformy szkolnictwa wyższego, której główne założenia Sejm uchwalił w marcu 2010 – niemal jednogłośnie.

Jesteśmy uczestnikami Procesu Bolońskiego, tj. takiego kształtowania systemu edukacji, zwłaszcza szkolnictwa wyższego i badań naukowych, by osiągnąć cel, jakim jest społeczeństwo wiedzy (mówię o tym w uproszczeniu, wskazując tylko sedno rzeczy), przy założeniu, że określenie to obejmuje całość wspólnoty europejskiej, choć poszczególne kraje Unii Europejskiej będą do celu dochodzić w różnym czasie.

W opracowanych strategiach reformy tego systemu (dwie – przygotowane przez różne gremia – w sprawach podstawowych mało się różnią) sporo miejsca zajmują związki uczelni z ich otoczeniem społecznym, rozpisane w rozmaitych raportach na szczegółowe plany – kontaktów z lokalną przedsiębiorczością, dostarczenia specjalistów potrzebnych na danym terenie, pożądaných lokalnie inicjatyw kulturalnych, stymulowania ambicji edukacyjnych...

W raporcie „Społeczna rola szkolnictwa wyższego i jego misja publiczna w perspektywie dekady 2010–2020”, stanowiącym część opracowania pt. „Polskie szkolnictwo wyższe. Stan, uwarunkowania i perspektywy” zapisano:

„W szybko zmieniającym się świecie uczelnia powinna zachować swoją szczególną rolę instytucji generującej zmianę (w pozytywnym sensie) poprzez kształcenie (czy raczej formowanie) kolejnych pokoleń i badania naukowe (upowszechnianie ich wyników), ale także reagującej na nowe oczekiwania otoczenia przez tę zmianę wywołane. Wśród tych oczekiwań znajdują się nie tylko upowszechnianie wiedzy i transfer technologii do gospodarki, ale także dostarczanie narzędzi do lepszego rozumienia złożonego świata i radzenia sobie z niestabilną rzeczywistością.”

Trochę niezgrabny tekst opisuje bezdyskusyjne i oczywiste zadania.

W strategiach reformy autorstwa przedstawicieli środowisk akademickich i (osobno) ekspertów zaproszonych przez resort, za mało uwagi – tak mi się zdaje – zwrócono na jedną z ważniejszych potrzeb „społecznego otoczenia” i to bez względu na geograficzne położenie uczelni. Potrzebę, którą wydarzenia historyczne ostatniego czasu czynią szczególnie aktualną, a tradycja bolońska pokazuje dobre wzory. Myślę o inicjowaniu i przeprowadzeniu (intelektualnym oraz duchowym) debacie publicznej. Merytoryczną aktualność oraz poziom zapewniający sensowne, zarazem realne, konkluzje mogą tej debacie zapewnić ludzie wykształceni w dobrych uniwersytetach.

To truizm, jednak pomyślawszy serio o tak fundamentalnej potrzebie i oceniając obecny stan debaty publicznej trudno zaprzeczyć, że mamy w tym względzie i niełatwe zadania i interesujące szanse. W Bolonii oraz na innych średniowiecznych uniwersytetach kształciła się elita ówczesnej Europy. Ludzie, którzy potem zostawali reformatorami ustroju w swoich krajach, dyplomatami układającymi ich stosunki z innymi państwami, filozofami, badaczami przyrody, poetami, mówcami sejmowymi. Taką rolę będą teraz (jeżeli rzeczywiście wyłonią się) pełnić „okręty flagowe” polskiej nauki, czyli uczelnie badawcze, ale przypuszczalnie nie zdołają „obsłużyć” wszystkich ojczystych areopagów, w jakie pragniemy zmienić rozplenione swarliwe agory.

Po tragedii 10 kwietnia słuchaliśmy wielu deklaracji polityków i ludzi mediów, że będą inaczej niż przedtem rozmawiać o sprawach publicznych, że o rzeczywiście wspólnych sprawach będą dyskutować – nie o plotkach z parlamentu, rządu, partyjnych konwentykli. Te prawdziwe problemy państwa i narodu nie są bynajmniej mniej interesujące od powierzchownych ocen zlepianych epitetami – pod warunkiem, że potrafimy je rozpoznać i ustalić hierarchię

Rychło pokazuje się, niestety, że gorące deklaracje rodzą wątpliwe owoce. Pesymiści kwitują to: nie mówiłem? Optymiści zastanawiają się nad tym, czy górę bierze niedostatek dobrej woli czy braki umiejętności rozmawiania, gdy się długo paplało, czy inne, trudniejsze do nadrobienia braki.

W kontekście tej społecznej potrzeby mówię o uniwersytetach, dlatego że ich nazwa określa całość – integralność wiedzy i idei, nauczania i formowania, co oczywiście nie znaczy, że uczelnie bardziej wyspecjalizowane powinnyści inicjowania dyskursu publicznego nie mają.

W społeczeństwie wiedzy, gdy się go doczekamy czy dopracujemy, ta potrzeba będzie jeszcze większa, a jej spełnianie trudniejsze, choćby ze względu na zwielokrotnioną liczbę uczestników dyskursu. I na to, że muszą w nim pośredniczyć media (co najmniej pośredniczyć), najbardziej w tej mierze zaniedbane. Może trzeba się zastanowić nad zmianami w kształceniu na kierunkach politologii czy nauk politycznych czy jakkolwiek się nazywają i na kierunkach oraz w licznych szkołach dziennikarskich? Tam szczególnie powinno być bardziej formowaniem niż dostarczaniem wiedzy.

Obrócenie się ku tradycji bolońskiej nie grozi zahamowaniem Procesu Bolońskiego, a może pokazać jak formowały się na uniwersytetach elity społeczeństw, których potomkowie żyją dzisiaj w nowoczesnych państwach albo trują się nad ich modernizacją.